Rok IX^ty. Nr. 29.

Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela dziesiąta po Zielonych świątkach*, dnia 20. Lipca 1845.

Religia.

Historya nawrócenia mieszkańców wysp gambijskich w Australii.

(Dalszy ciąg.)

Obadwa kapłani żyli bardzo nędznie, lecz jednak zadowolnieni, w zaufaniu, że Pan ich pracę błogosławić będzie. Księdza Caro nazwali Tarcha, księdza Laval Tarora. Często nazywali ich także Korua, to jest dwaj, ponieważ zawsze byli razem. Brata Kolumbana nazywano Tamuta, ponieważ drewniane sprzęty robił. Co dzień lud prosił o to, czémby się mógł okrywać. Raz kupili dobrzy kapłani na okręcie, który z Otaheity przybył, cokolwiek kattunu i rozdzielili go zaraz między mieszkańców. Prosili więc oni w listach, do Europy pisanych, najusilniéj, aby im kattunu przysłano. Ich sutany podarły się w kawałki, a trzewiki z nóg pospadały.

Dnia 1. Stycznia 1835 roku pojechali oba kapłani z bratem na wyspę Tarrawai, do któréj piérwszą łodzią swoją dobić, i na któréj zatém poselstwa pokoju dotąd niemogli ogłosić. Tameczni mieszkańcy przyjęli ich dobrze i słuchali ich nauki. Tu spotkali się także z królem Moputro, i powiedzieli mu, na mocy powagi Boskiego poselstwa, że tylko jeden jest Bóg, i że się drugie nadto życie znajduje; że dusze cnotliwych po śmierci do nieba idą, gdzie wszelkiego szczęścia używają, i że dusze niegodziwych w ogień wtrącone będą. Ich słowa sprawiły na nim takie wrażenie, że krople potu z jego czoła spływały. Odwiedziwszy cały naród, znaleźli króla w jednéj chacie i znowu rozmawiali z nim o Bogu i o Jego dobroci. Król odpowiedział im, że ich nauka jest dobra, i zachęcał ich, aby tam pozostali. Lecz musieli do domu wrócić, przyrzekając znowu tu przybyć. Kiedy do swéj łodzi wsiadać mieli, przysłała im królowa owoc figi rajskiéj. Ojciec Laval piérwszy raz chciał być sternikiem, iżby drugą razą bez brata Kolumbana sam mógł płynąć. Bliskim już będąc brzegu Akany, chciał uniknąć skały; lecz zerwała się lina od steru i upadł w morze. Wnet wypadło dwóch, przeszło sześć stóp wysokich ludzi, z wyspy na morze, aby go wyratować. Ci dwaj ludzie byli to: naczelnik wyspy i brat jego. Tyle znaczenia i miłości zjednali sobie posłańcy wiary na wyspie. Nauka o zmartwychwstaniu umarłych czyniła wszędzie mocne wrażenie, i odtąd stała się przed-

miotem rozmów. Dokąd tylko przybyli kapłani, zapytywano ich, czy ten lub ów, co dawno umarł, zmartwychwstanie? Tu rzekł jeden: ja ujrzę znowu ojca mego! Owdzie mówił drugi: ja ujrzę znowu matkę moję, ja moje dziecko. Niektórzy z nich mówili: jak kto u nas umrze, to powiadamy mu: żegnaj na wieki! Przebóg, rzekli poczciwi ojcowie, odtąd nie będziecie tak więcéj mówili. Dobrzy i źli z grobów wstaną i ujrzymy ich w dniu powszechnego zmartwychwstania.

Dnia 12. Stycznia odjechali ojcowie na wyspę Tarrawai ogłaszać poselstwo zbawienia, lecz zostali zimno przyjęci. Widzieli dzikie ludu spojrzenie. Weszli do chaty, w któréj mieli przenocować. Worek, zawierający sprzęty do nabożeństwa służące, złożyli na ziemi, i ostrzegali wszystkich przytomnych, że to rzecz jest: Tapu, to jest święta rzecz wielkiego Boga, i że nie można jéj ruszać. Wtém przybył człowiek, którego przy piérwszych odwiedzinach poznali, i który był nader uprzejmy i wesoły, i rzekł do nich: „życzę sobie modlić się z wami.“ Nauczyli go żegnać się i mniejszych modlitw, i tyle w nich znalazł upodobania, iż mu je dopóty powtarzać musieli, dopóki ich nie pojął. Przybyły także dzieci, które znak krzyża świętego robiły i pospieszały drugiéj dziatwy szukać. Wnet otoczyła ich gromada dzieci, a nawet małe, i wszystkie chciały się nauczyć znak krzyża robić i modlitwę odmawiać, którą ojcowie w krajowym języku ułożyli. Nie długo zaczął krzyż święty błogosławieństwa swoje na ten naród zlewać. Wszystko się zgromadziło, i nie było już tych samych dzikich twarzy, z jakiemi ojców byli przyjęli. Poglądali na nich z radością i zarzucali ich pytaniami. Nauczali kapłani i słowa wzięły błogosławiony skutek. Innego ranka znowu się lud zgromadził, kiedy kapłani świętą ofiarę nowego przymierza piérwszy raz na téj wyspie sprawowali. Potém udzielali nauki, i kiedy o śmierci Jezusa mówili, pokazali słuchaczom obraz Ukrzyżowanego. Ten widok sprawił na sercach mocne wrażenie. Po mszy świętéj rozdali dzieciom pisane abecadło i otworzyli szkołę. Gdy się lud oddalił, odmówili ojcowie kapłańskie pacierze i poczytali sobie za powinność odwiedzić inne także narody.

Uprzejmy człowiek, który poprzedniego dnia żądał od nich nauk, podjął się teraz być ich przewodnikiem. Zaraz na początku musieli na wysoką wchodzić górę. Upał, który jest w tym kraju nieznośnym, doszedł już najwyższego stopnia swego, tak, iż oblani potem z utrudzenia, omdlewali. Ich przewodnik nawet nie mógł iśdź daléj. Zapytał ich więc, czyli obadwa inne ludy téj wyspy odwiedzić chcieli, i tegoż samego dnia jeszcze powrócić? Na odpowiedź potwierdzającą wydał on takie westchnienie, iż się od śmiechu powściągnąć nie mogli. Do piérwszego przybywszy ludu, znaleźli dość spory dom, a w nim człowieka z długą i białą jak śnieg brodą. Ten zaprosił ich do domu i przyjęli to zaproszenie. Kiedy z tym starcem rozmawiali, zgromadził się lud na wieść o ich przybyciu. Zapytywano ich o kraj; a gdy odrzekli, że ich ojczyzna bardzo jest daleko, zapytywali, czyli nieba dosięga. Potém pytano się, czy oni są dziećmi ludzi? a starzec, nie czekając na odpowiedź, pytał: „czy jesteście bogowie?“ To pytanie dało powód, iż oznajmili tym ludziom bytność jednego Boga, i mówili o wcieleniu Syna Bożego, śmierci i zmartwychwstaniu. Po téj

nauce krótkiéj, pytał starzec, czy bogów swoich miał porzucić? Odpowiedzieli, iż powinien to uczynić, i w Jezusa Chrystusa wierzyć. Nie wiedząc, siedli ojcowie na progu świątyni bałwochwalskiéj, a ten starzec był Matura, pogański arcykapłan. Zrobili krzyż na wszystkich czołach i poszli daléj. Starzec towarzyszył im, i z łatwością, jak oni, wszedł na najspadzistsze góry. Mocno już znużeni przyszli do ostatniego ludu. Gdy się wszystek zgromadził, ogłosili pocieszające tajemnice wcielenia Syna Bożego, odkupienia i powszechnego zmartwychwstania. Tu znajdował się także naczelnik ludu, do którego na téj wyspie naprzód byli przyszli. Obłożył on pomost, na palach wzniesiony, liściami wielkiemi, mającemi służyć za dach bożnicy, którą ten naród zaczął stawiać. W kraju tym domy są z palów w ziemię zatkniętych, na których kładą się lekkie belki, i wielkiém długiém okrywają liściem. Weszli do takiego szałasu z ufnością, wracając niby do swego domu. Wieczorem wielu ludzi okrążyło to mieszkanie, a między tymi znajdował się także stary kapłan bałwochwalski Matura. Robił on często krzyż i mówił do ojców, że chce bogów swoich porzucić, a tylko Jezusa wielbić. Drugiego dnia atoli nie miał już téj gorliwości. Zresztą był on wesoły i uprzejmy. Zobaczywszy, jak dalece usiłowali Missyonarze wydoskonalić się w języku, z ukontentowaniem odkrywał im znaczenie słów, i zadawał sobie nawet, gdy było trzeba, wiele pracy. Pewnego razu, chcąc im wyobrazić, co wyraz boleść znaczy, zaczął się nagle w błocie tarzać, wcale się nie oszczędzając. Wprawdzie nie potrzebował się obawiać, aby sukni swoich nie pobrudził, ponieważ żadnych nie miał na sobie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Gospodarstwo domowe.

Czy lepiéj na zimę, lub na wiosnę miód pszczołom podbierać?

Mojém zdaniem korzystniéj dla gospodarza na wiosnę miód pszczołom podbierać, czemu? bo gdy się na zimę podbierze, to się w ulu wiele robi próżnego miejsca, łatwo wtedy pszczoły wymarzają. Nadto nie jeden łakomstwem uniesiony za nadto wyrzyna i pszczoły z głodu umierać muszą, co im na wiosnę nie szkodzi, bo mogą sobie poszukać pokarmu za ulem. Na zimę na to się tylko patrzy do pszczół, aby ule wychędożyć, słabe pszczoły w miód zaopatrzyć i zmniejszyć otwory, aby myszy wkradać się niemogły. I do téj roboty najstósowniejszy jest miesiąc Wrzesień. Niektórzy gospodarze podrzynając pszczoły na zimę, słabe i mało miodu mające podkurzają, bo mówią, że lepiéj jest mieć jeden pieniek mniéj, jak biedzić się ich żywieniem; ale to nie prawda! zawsze jest lepiéj nie żałować trochę fatygi, miodu, i żywić pszczoły. Trochę miodu nie wiele przyniesie zysku, a ocali pszczoły. Skurzają téż pszczoły, które mają zbyt starą węzę; ale i to nie potrzeba. Podrzynając na wiosnę, n. p. w ulu, wyrzyna się połowa węzy od góry do dołu zupełnie. Latem pszczoły bardzo chętnie to próżne miejsce zarobią. Na drugi rok wyrznie się druga połowa i tym sposobem oczyści się ul ze staréj węzy i pszczoły ochotniéj pójdą na robotę, i choć słabe były, bardzo się wzmocnią.

DONIESIENIA KSIĘGARSKIE.